

Tu Papugę wszyscy znają

17.12.2014.

Rozmowa ze STEFANEM GRABARCZYKIEM. Byłym piłkarzem i mieszkańcem Choszczna, który w latach 1988 wyemigrował za granicę. Popularny Papuga, całkiem niedawno zorganizował spotkanie „po latach”; z byłymi zawodnikami, działaczami i sympatykami Grunwaldu Choszczno (przeczytać o tym możecie tutaj).

- W Choszcznie wszyscy pamiętają Cię raczej z boiska, ale Ty twierdzisz, że równie ważnym elementem życia spędzonego w tym mieście była muzyka?

- To nie tak. Dzisiaj mam zdecydowanie więcej znajomych i przyjaciół z boiska i to oni ten piłkarski mit kreują, ale ja z uporem maniaka wspominał będę chwile spędzone m.in. w zespołach „Zwiastun” i „Czasy”...

- No to kto Ci wymyślił ksywkę Papuga? Piłkarze czy muzycy?

- Mój starszy brat Krzysztof grając w zespole, potrafił natychmiast powtórzyć każdą nową sekwencję i to do niego przyłgnał pseudonim Papuga. Potem do zespołu dołączyłem ja i natychmiast przypisali mi ksywkę Młody Papuga. Z czasem wszystko gdzieś się zatarło i został tylko Papuga, ja jednak zawsze czułem się tym młodszym.

- Dziś mieszkasz w Kanadzie. Wyjeżdżając z Choszczna wiedziałeś już, że raczej tu nie powrócisz?

- Nawet nie wiem czy o tym marzyłem. W 1987 roku spędziłem trzy miesiące w brata w Londynie. Doskonale to pamiętam, bo wtedy obchodzone było 100-lecie ligi angielskiej i miałem okazję na żywo zobaczyć nie tylko Maradonę, ale także wszystkich najlepszych zawodników świata. Już nie pamiętam czy po powrocie do Choszczna komukolwiek o tym mówiłem, ale wiedziałem, że tam wrócę. Do dziś niektórzy pamiętają, że wtedy biegałem po ulicach z walkmanem i jak... papuga powtarzałem angielskie słówka. Rok później, gdy moi koledzy z Grunwaldu wyjeżdżali na obóz, ja pojechałem ponownie do Londynu. Tam pierwszy telefon wykonałem do kolegi, który nie wiedząc o tym, że jestem Londynie zaproponował mi grę w drużynie White Eagle (Biały Orzeł). Tak, to były piękne lata. Pochwalę się, że wówczas występowałem z wieloma znanymi polskim piłkarzami, choćby z Leszkiem Wolskim czy Zbigniewem Hnatio.

- I ten epizod uważasz za swój sportowy sukces?

- To było dla mnie ważne, ale dzisiaj myślę, że dużo wyżej wypadłoby postawić dwukrotne mistrzostwo województwa, które zdobyliśmy w czasach licealnych, za Olka Szablewskiego. To naprawdę było

wydarzenie wielkiego formatu i myślę, że w tamtej dobie spokojnie mogliśmy walczyć o miejsce w drugiej lidze. Niestety, miałem pecha, bo złamałem nogę. Po rekonwalescencji wróciłem do trzecioligowego składu i znowu złamałem nogę. Myślę, że sukcesem było to, że zawsze potrafiłem się podnieść i dalej grać w Londynie, potem Kanadzie. Moim zdaniem trzeba mieć kuku na tle piłki, by wracać na boisko poobijanym, niemalże niepełnosprawnym. Nie wiem czy dzisiejsza młodzież potrafi to zrozumieć.

- A gdybym zapytał sukces życiowy?

- Pewnie mógłbym wymienić wiele, ale zdecydowanie na pierwszym miejscu postawię moją rodzinę, a przede wszystkim żonę Halinę. Pewnie dobrze wiesz, że w tamtych czasach piłkarze za kołnierz nie wylewali i z przekonaniem stwierdzam, że gdyby nie ona, to mógłbym skończyć tak jak wielu moich kolegów. To ona była i jest motorem napędowym mojego życia. Sama będąc nauczycielką w Szkole Podstawowej nr 3 skończyła studia na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu, a potem ciągle do przodu. Mamy rodzinę, dobrze sobie radzimy, razem zwiedzamy świat. Nic dodać.

- Wróćmy jeszcze do choszczeńskiej przygody z muzyką.

- Mój brat grał w zespole „Czasy” i poszedł na studia. Potrzebowali basisty, a że ja trochę ćwiczyłem, więc powiedzieli: - Chodź młody. Będziesz grał

z nami. Nie pamiętam dokładnie, który to był rok. Chyba 69 lub 70, gdy do Choszczna przyjechała telewizja i miałem okazję wystąpić w tzw. Telewizyjnym Ekranie Młodych. Pamiętam za to jak robili wywiad z Witkiem Kiejrysem, a ja panikowałem jak cholera. Potem przez całe wakacje graliśmy tzw. non-stop. Pani LONGINA WALESIAK, szefowa Domu Kultury Kolejarza pozwalała na to, aby część zarobionej kasy brać do kieszeni. Po każdej takiej imprezie starsi koledzy brali mnie na balangi i tak właśnie uczyłem się... choszczeńskiej polskości (śmiech).

- Za chwilę pomyślę, że uciekłeś z Choszczna, z Polski tylko z powodu... właśnie tej „choszczeńskiej polskości”?

- No wiesz, tak naprawdę, to na to pytanie nigdy nie poznamy odpowiedzi. Pewne jest tylko to, że nigdy tego nie żałowałem. Raz na trzy, cztery lata wracam do Choszczna i robię to zawsze z taką samą przyjemnością i radością.

- Skoro mówisz o tych powrotach, to powiedz jak porównujesz dzisiejsze Choszczno do tego sprzed 20 czy 10 lat?

- Oczywiście, że wypiękniało. Wiem, że to ważne, ale nie dla mnie. Ja przede wszystkim kocham to miasto i zawsze będę mówił o nim sam najlepsze rzeczy. W rozmowach nigdy nie kombinuję i zawsze podkreślam, że pochodzę z Choszczna. Jakiś warszawiak pyta, gdzie to jest, więc tłumaczę i już nieco złośliwie dodaję, że byłem w stolicy i nie widziałem go tam (śmiech). Za to mnie w Choszcznie wszyscy znają. Wiesz, tak naprawdę z żoną zjeździliśmy połowę tego atrakcyjnego świata, ale zawsze z największą przyjemnością znajdujemy dwa tygodnie na wypad do Choszczna.

- I co zawsze witają Cię tak samo?

- Nawet czulej (śmiech).

- A na stałe nie masz zamiaru powracać?

- Już mówiłem, że nigdy o tym nie marzyłem, by na stałe pozostać za granicą. Dziś mówię, że tam mam swoją rodzinę, a trójka wnuków też do czegoś zobowiązuje. Może nie czas o tym mówić, ale gdzieś tak w duchu marzę, żeby właśnie w Choszcznie spoczęły moje prochy.

- Dziękuję za rozmowę.

Tadeusz Krawiec